

Ulrich Drechsel

Moja droga do Polski - migawki z pięciu dziesięcioleci

Acta Cassubiana 12, 240-247

2010

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Ulrich Drechsel
(Gryfia)

Moja droga do Polski – migawki z pięciu dziesięcioleci

Wracając myślami wstecz do lat dziecięcych, jako rodowity Saksończyk muszę przyznać, że pierwotnie z Polską w zasadzie nie łączyło mnie nic – żadnych korzeni polskich przecież nie mam, był to więc dla mnie kraj nieróżniący się wcale od pozostałej zagranicy. Trochę bliższa była mi ówczesna Czechosłowacja. Najmniejszą odległość między moim miastem rodzinnym a granicą czeską wyniosła bowiem zaledwie 10 km. Rzecz jasna, że po latach dyktatury brunatnej i II wojnie światowej na pierwotny mój obraz o Czechach wpłynęły opowiadania, plotki i przesady ludzi – przeważnie z mojego dalszego otoczenia, które dla Czechów były raczej niezbyt pochlebne. Krytyczne uwagi dotyczyły jednak przede wszystkim faktu, że na pograniczu po stronie czeskiej prawie nikt już nie mieszkał. Ze strony niemieckiej widać było opuszczone i zaniedbane miejscowości, z czego wówczas wyciągano pewne wnioski co do charakteru Czechów. Nie zrobiło to jednak na mnie specjalnego wrażenia i już w wieku ok. 17 lat nawiązałem kontakty z czeską dziewczyną z Usti nad Łabą. Wspólnymi naszymi językami korespondencyjnymi były angielski i rosyjski. Wpłynęło to bardzo korzystnie na moje już wówczas istniejące zainteresowanie językami obcymi i chęć podjęcia odpowiednich studiów, które początkowo zamierzałem odbyć w Lipsku. Ale moje informacje były nieprawdziwe – zabrakło miejsc i tamtejszy Uniwersytet skierował moje dokumenty dalej do Greifswaldu, aby mi – jak napisali – umożliwić podjęcie studiów jeszcze w tym, tj. 1961 roku. Co prawda były to studia o innym nieco, niezupełnie zbieżnym z moimi życzeniami charakterze, bo nauczycielskie, i w dodatku nie czysto obcojęzyczne, a mianowicie – jak to w NRD było regułą – dwuprzedmiotowe: rusycystyczne i germanistyczne. Poza tym pierwotnie w przyszłej pracy zawodowej chciałem uczyć dorosłych, a nie uczniów od klasy 5 do 10. Ale ostatecznie zgodziłem się na te studia w Greifswaldzie i 17 sierpnia 1961 r., więc w 4 dni po budowie muru berlińskiego, ruszyłem. W Berlinie miałem przesiadkę i musiałem czekać na pociąg do Greifswaldu, więc poszedłem sobie na spacer, z ciekawości oczywiście w stronę tego muru. Pamiętam, że stały czołgi po obu jego stronach i miałem bardzo niedobre przeczucia. Ale to jest inny temat.

Studenci wówczas przed właściwymi studiami musieli odbyć sześciotygodniową, chyba bezpłatną „praktykę” jako pomocnicy w rolnictwie. Kiedy po tej praktyce nadszedł pierwszy dzień studiów, razem z kolegą dowiedzieliśmy się że w Greifswaldzie m.in. jest także czysto obcojęzyczny, trójprzedmiotowy kierunek studiów, tak zwanych dyplomowych, obejmujący filologię: rosyjską, polską i czeską. Natychmiast poszliśmy do dyrektora ówczesnego Instytutu Sławistyki, którym był – co w NRD z pewnością było czymś szczególnym – Austriak, prof. Ferdinand Liewehr. Chcieliśmy bowiem od razu zmienić kierunek studiów i podjąć te studia dyplomowe. Okazało się jednak, że nie było już wolnych miejsc, wobec czego prof. Liewehr radził nam się zdecydować tymczasowo na fakultatywne, dodatkowe studia drugiego obok rosyjskiego języka słowiańskiego według naszego wyboru. Wówczas tylko przez przypadek zdecydowaliśmy się na język polski na niekorzyść czeskiego. Przypadek ten polegał na tym, że o naszym wyborze zdecydował plan zajęć. Było bowiem tak, że właśnie w tym pierwszym semestrze zajęcia polonistyczne odbyły się bez wyjątku akurat w czasie wolnym od innych zajęć, do których musieliśmy uczęszczać bezwzględnie obligatoryjnie. Profesor nam jeszcze powiedział, że o studia dyplomowe możemy się ubiegać ponownie w rok później, ale tylko w razie dobrych wyników także z polonistyki. Wyniki były, ale nie było już nowej rekrutacji, bo rocznik z 1961 r. był ostatnim swego rodzaju. Zastanawialiśmy się, co robić dalej, i zdecydowaliśmy się kontynuować studia polonistyczne w ramach naszych możliwości, to znaczy, o ile na to pozwolił plan zajęć, co oczywiście już nie grało tak jak w pierwszym semestrze. W czasie naszych wspólnych studiów polonistycznych w Greifswaldzie przez cały czas zajęcia prowadzili renomowani poloniści warszawscy, a więc prof. Bronisław Wieczorkiewicz, doc. Barbara Bartnicka-Dąbkowska, doc. Roxana Sienielnikoff i doc. Halina Rybicka-Nowacka (są to ówczesne naukowe tytuły).

Po trzecim roku studiów, już po ostatnich egzaminach, niespodziewanie przyjechał rowerem do mnie mój kolega. Mieszkałem wówczas już nie w akademiku, ale prywatnie w wiosce, która dzisiaj należy do Greifswaldu. Kolega mi powiedział, że z Instytutu dzwonił do niego i proponują nam roczne studia polonistyczne w Polsce, z perspektywą podjęcia pracy na polonistyce. Natychmiast pojechaliśmy do Instytutu, gdzie czekał na nas już opiekun grupy i w imieniu Dyrekcji wznowił propozycję. Mieliśmy wszystko jeszcze przemyśleć i za tydzień poinformować o naszej decyzji. Powiedzieliśmy, że już jesteśmy zdecydowani i od razu przyjmujemy ofertę. Nie wiedzieliśmy jedynie, czy już czwarty rok studiów mamy spędzić w Polsce lub wyjechać później, po egzaminie państwowym z germanistyki i rusycystyki. Dyrekcja następnie podjęła słuszną decyzję, abyśmy wyjechali dopiero po czwartym roku. Kiedy przygotowywaliśmy się do ostatnich egzaminów, w Instytucie zaczęła się zarysowywać konieczność znalezienia dodatkowego lektora języka rosyjskiego. Wybór padł na mojego kolegę, który wskutek tego zamiast do Polski, miał wyjechać na pół roku do ówczesnego Leningradu. Przyjął tę propozycję, ale po powrocie w Greifswaldzie pracował tylko przez krótki czas, bo

zatrudnił go Uniwersytet im. Humboldta w Berlinie, gdzie prof. Wolfgang Gladow, od paru lat dr h. c. Uniwersytetu im. Łomonosowa w Moskwie, pracował do przejścia na emeryturę.

Ja natomiast na cały rok wyjechałem do Polski, gdzie początkowo jąkałem się po polsku z tak silnym akcentem rosyjskim, że Polacy mieli mnie za Rosjanina. Moja polszczyzna wówczas nie była bowiem najlepsza, tym bardziej, że znajoma z Usti nad Łabą zapytała mnie pewnego dnia, dlaczego do niej właściwie ciągle piszę albo po rosyjsku, albo po angielsku, a nie po czesku. Wówczas byłem studentem III roku i pod wpływem jej pytania, jako samouk, z impetem zabrałem się do czeskiego i w krótkim czasie potem zacząłem pisywać do niej wyłącznie po czesku, co przez jakiś czas oczywiście wpłynęło niekorzystnie na moje ambicje polonistyczne. Był to wówczas język czeski dość błędny, ale pewnie troszeczkę lepszy niż moja polszczyzna, bo miałem konkretną motywację konwersacji pisemnej i później – w czasie wzajemnych wizyt – także ustnej. Niestety, te kontakty w jesieni 1968 r. nagle i raz na zawsze ustały, bo moja znajoma była zwolennikiem Dubczeka i musiała wyemigrować do Anglii.

Pierwsze kroki w Polsce zrobiłem w Łodzi na Studium Języka Polskiego dla Cudzoziemców na Kopczyńskiego, a to przez błąd instytucji, z której później wyszło Ministerstwo Szkolnictwa Wyższego NRD. Do Uniwersytetu Łódzkiego nie było dla mnie skierowania i miałem koniecznie – do dziś nie wiem, dlaczego – odbyć swoje studia uzupełniające w Warszawie. Tam natomiast zabrakło miejsca w jednym z akademików. Do wyjaśnienia sytuacji w tym Studium pozwolili mi jednak uczęszczać na polskojęzyczne zajęcia z fizyki, chemii, matematyki itd. I tak było przez ponad 3 miesiące. W tym czasie byłem aż 6 razy w Warszawie i starałem się o osiągnięcie właściwego celu mojego wyjazdu do Polski. Obok pani doc. Sinielnikoff, która miała być studentką w polskim Ministerstwie Szkolnictwa Wyższego, pomogła mi w tym Ambasada NRD. Nareszcie 30 listopada 1965 r. mogłem się przenieść do Warszawy i uzgodnić z nauczycielami akademickimi coś w rodzaju indywidualnego planu zajęć. Było to potrzebne z dwóch przyczyn: po pierwsze, miałem tylko rok czasu, z którego minęła już spora część, po drugie dlatego, że wówczas w stosunkach między NRD a PRL obowiązywała tzw. Umowa kulturalna („Kulturabkommen”), która przewidywała m.in. wzajemne uznanie egzaminów w zdanych każdorazowo w drugim kraju. Ale zabrakło mi kilku egzaminów, a poza tym musiałem napisać polonistyczną pracę magisterską. Temat tej pracy, którą napisałem pod kierunkiem prof. A. Wieczorkiewicza, dostałem dopiero – m.in. z powodu choroby – pod koniec stycznia. Napisałem ją o zapożyczeniach z języka niemieckiego, występujących w wybranych dziełach Bolesława Prusa. Zebranie przykładów zacząłem od *Wyboru kronik* i po prawie półrocznym pobycie w Polsce byłem w lutym na takim poziomie, że w ciągu sześciogodzinnej lektury, w czasie której do każdego nieznanego wyrazu w słowniku szukałem skrupulatnie niemieckiego odpowiednika, przeczytałem ok. 20 niezbyt dużych stron i wypisałem odpowiednie przykłady. Była to metoda czasochłonna, ale bar-

dzo dla mnie pożyteczna, bo w marcu w tym samym czasie, już siedząc nad *Lalką*, przerobiłem 50 stron. Pracę złożyłem w czerwcu lub lipcu, ale musiałem jeszcze zdać egzaminy z Historii języka polskiego i z Literatury. Objętość list lektur obowiązkowych była chyba nie tylko dla mnie przerażająca. Czytałem, ile mogłem, w tym czasie przeciętnie już ponad 300 stron dziennie, w sumie ponad 10.000 stron, ale to było tyle, co nic. Jakoś jednak mnie przepuścili. Zajęcia z Historii języka polskiego odbyłem na kursie prowadzonym przez panią doc. Sinielnikoff dla studentów zaocznych w lecie, bo dostałem przedłużenie i dopiero 22 września wróciłem do domu, gdzie po kilkudniowym zaledwie wypoczynku 26 września miałem prowadzić już pierwsze zajęcia polonistyczne jako asystent. Zastana sytuacja była dla mnie trudna i dziwna. Byłem bowiem od pierwszego dnia pracy swoim własnym szefem – żadnego kolegi-polonisty już nie było, i poza tym miałem jedną, jedyną studentkę, która za zgodą władz uniwersyteckich ze względów zdrowotnych mogła zmienić kierunek studiów z kombinacji przedmiotów: Filologia Rosyjska/Wychowanie fizyczne na slawistyczne studia dyplomowe, które oficjalnie już nie figurowały na Uniwersytecie. W latach następnych było jeszcze parę takich przypadków. W tym okresie byłem trzykrotnie uczestnikiem kursów letnich zorganizowanych przez Uniwersytet Warszawski i poza tym miałem za sobą pierwsze pobyty w Warszawie związane z przygotowaniem doktoratu i później dalsze, związane z habilitacją.

Od 1973 do 1977 r. ze strony polonistycznej powierzono mi udział w kształceniu jednego rocznika tłumaczy. W zasadzie żadnymi szczególnymi warunkami nie można było się pochwalić, żadnej tradycji, jak np. w Lipsku, żadnych doświadczeń, żadnych materiałów, ale dwukrotnie, choć przez rok, pojawiał się lektor gościnny z Polski. Pierwszy raz byłem odpowiedzialny za kompletne wykształcenie polonistyczne całej grupy, składającej się początkowo z 10 studentów i na końcu z 7 absolwentów. Jedną z moich byłych studentek z tej grupy ok. 12 lat później widziałem przypadkowo w telewizji niemieckiej, tłumaczącą rozmowę między Gizelą May a Marylą Rodowicz. Pomimo olbrzymich trudności związanych z kształceniem tłumaczy bardzo żałowałem, że zapadła decyzja, iż w Greifswaldzie nie będzie nowego rocznika, ponieważ takich tłumaczy kształci się już w Lipsku, a także w Berlinie. Zamiast tego wprowadzono w Greifswaldzie kształcenie nauczycieli języka polskiego. Ta decyzja obowiązywała do 1990 r.

Oczywiście od samego początku pracy jako polonista od czasu do czasu musiałem sam tłumaczyć przy różnych okazjach. Pamiętam m.in. zabawny epizod z 1975 r., kiedy jako tłumacz miałem towarzyszyć ówczesnemu mojemu Rektorowi do Gdańska, gdzie otrzymał on zaproszenie z okazji 25-lecia istnienia Akademii Medycznej. Kierowałem się wówczas obowiązującą dla mnie na zajęciach instrukcją i powiedziałem także w zdaniach niemieckich „in Gdańsk” zamiast „in Danzig”, podczas gdy gospodarze mówili nawet w zdaniach polskich „w Danzigu”.

Początek lat osiemdziesiątych był dla mnie nowym wyzwaniem o tyle, że ludzie wiedzieli, że coś się dzieje w Polsce, ale nikt nic nie wiedział dokładnie.

W mediach NRD-owskich dopiero po paru dniach była informacja o „przerwach w pracy”. Świadomie nie posługiwano się wyrazem „strajk”. Ale interesowano się sytuacją w Polsce i była potrzeba, aby dowiedzieć się więcej ode mnie. Oprócz „Trybuny Ludu”, która zazwyczaj z co najmniej dwudniowym opóźnieniem docierała do Instytutu, żadnych innych źródeł informacji też nie miałem. Telewizji zachodniej u nas nie było, bo mieszkaliśmy, jak wówczas mówiono, „im Tal der Ahnungslosen” („w dolinie niewiedzących”). Ale pewnego dnia w radiu złapałem w porannej audycji „Aus Ostberliner Zeitungen” („Z gazet wschodniobierlińskich”) stacji „Deutschlandfunk” komentarz na temat polityki informacyjnej NRD co do wydarzeń w Polsce, i oczywiście dowiedziałem się w ten sposób także o tym, jak się na Zachodzie ocenia wydarzenia w Polsce. Od tego czasu starałem się regularnie zbierać wiadomości z Deutschlandfunk.

W marcu 1981 r. miałem kolejny kilkutygodniowy pobyt naukowy w Polsce. Tym razem przed wyjazdem przeżywałem coś w rodzaju tremy. Przecież w NRD nie byłem przyzwyczajony do takiej sytuacji, jaka wówczas panowała w Polsce. Wiedziałem już, że trudno nawet o jedzenie, zapakowałem więc zapasy, ile się dało i ruszyłem. Po przybyciu do Warszawy widziałem naklejone na murach domów ulotki, z których jedna dała mi wiele do myślenia. Ze zdziwieniem bowiem czytałem na niej: „Nasi najwięksi wrogowie siedzą w Moskwie, Berlinie Wschodnim i Pradze”. Nie bardzo wówczas rozumiałem, dlaczego, bo nie pasowało to do mojego dotychczasowego obrazu o Polsce i stosunkach PRL-NRD. Chciałem wierzyć w przyjaźń naszych narodów i przyczynić się do jej budowy. Przecież w tej tak zwanej „przyjaźni nakazanej” („verordnete Freundschaft”), jak to się u nas określa dzisiaj, nie widziałem nic złego, bo uważałem, że stukrotnie lepsze to, niż propagowanie wrogości. Oczywiście najlepiej jest, jeśli przyjaźni nie trzeba nakazywać, bo rozwija się sama przez się na podstawie wzajemnego szacunku oraz wzajemnej szczerości, tolerancji, akceptacji pewnej inności, krótko mówiąc na podstawie obustronnych wysiłków o dobry, wzajemny stosunek. Tym zawsze się kierowałem i ani przez chwilę nie żalowałem.

Inne przeżycie z tego czasu, które utkwilo mi w pamięci, zdarzyło się w listopadzie 1981 r. Byłem wtedy najpierw na konferencji w Poznaniu, zorganizowanej przez Dwustronną Polsko-NRDowską Komisję Germanistyczną i nie mogłem zostać do końca, bo następnego dnia miałem być na konferencji Dwustronnej Polsko-NRDowskiej Komisji Polonistycznej, która się odbyła w Warszawie. Był to czas strajków na uniwersytetach zarówno w Poznaniu, jak i w Warszawie. Do Warszawy dojechałem z opóźnieniem, ponieważ po drodze stanął pociąg – nagle nie było prądu. Przed nowym wtedy Dworcem Centralnym złapałem sobie tak-sówkę, podjechałem pod Uniwersytet i zorientowałem się, że dostęp będzie tylko za okazaniem przepustki, której oczywiście nie posiadałem. W pierwszej chwili byłem zrozpaczony, bo przecież pamiętałem o „wrogach” z NRD, o których czytałem w marcu. Poza tym na innej konferencji w Polsce zauważyłem poprzednio, że część Polaków patrzyła na NRD trochę inaczej niż przedtem. Zastanowiłem się

i wiedząc, że w tej sytuacji nie mogę się przyznać jako obywatel NRD, zdecydowałem się postawić wszystko na jedną kartę, udając po prostu Polaka zaproszonego na konferencję. Najlepszą polszczyzną, jak tylko mogłem, przedstawiłem więc sytuację zgodnie z prawdą, unikając jedynie problemu narodowości. I udało się. Od organizatorów konferencji dostałem potem przepustkę i następnego dnia tego problemu już nie miałem. Wracając po konferencji do domu, przemyciłem przez granicę ulotkę Solidarności. Dzisiaj wydaje się to śmieszne, ale wówczas przez to naraziłem się na spore niebezpieczeństwo, ponieważ nie wiem, co by się stało, gdyby w razie kontroli znaleźli ją celnicy NRD-owscy.

Po upadku komuny na wschodzie Niemiec dla wielu pracowników uniwersyteckich, przede wszystkim dla takich, którzy przedtem uzyskali pewną pozycję, nastaly trudne czasy, również dla mnie. Ale byłem chyba na całym Wydziale Filologicznym ostatnim profesorem, który stracił miejsce pracy, a to przez likwidację etatu w 1996 r., bo innego sposobu nie było.

Już przedtem jednak skorzystałem z nowych możliwości powstałych po upadku komuny. Wiosną 1992 r. uczestniczyłem w podróży kształcącej po Polsce północnej. W autokarze byłem jedynym Niemcem wschodnim i jedynym płacącym. W Ilawie mieszkaliśmy w małym hotelu, i w czasie obiadu ktoś przy stole mnie zapytał, czy mogę polecić napój typowo polski. Zaproponowałem jarzębiaka. Zamówili po kieliszku do stołu, potem poszli do bufetu i kupili po butelce. Inni to zauważyli, spytali, co to jest i czy to dobre, i też poszli do bufetu. Wykupili wszystko, a jarzębiaka nie starczyło dla wszystkich chętnych.

Jesienią 1992 r. zaproponowano mi udział w przeszkoleniu polskich nauczycieli języka rosyjskiego na nauczycieli języka niemieckiego w Szczecinie. Przyjąłem ofertę i w ten sposób zrobiłem pierwsze kroki w pracy jako germanista. Nie było to dla mnie wielkim problemem, ponieważ w polonistycznych badaniach językoznawczych pracowałem przede wszystkim kontrastywnie, porównując pewne zjawiska językowe w językach polskim i niemieckim. W marcu 1994 r. dodatkowo do pracy wykonanej jeszcze jako polonista w Greifswaldzie podjąłem pracę na podstawie umowy-zlecenia w Instytucie Filologii Germańskiej Uniwersytetu Szczecińskiego. Praca z polskimi studentami była dla mnie bardzo zaszczytna i stanowiła nowe wezwanie. Zostałem przyjęty w tym Instytucie, a także przez władze Uniwersytetu i Wydziału bardzo przyjaźnie. Klimat pracy był zupełnie inny, bo o wiele lepszy niż wówczas w Greifswaldzie. Dzięki członkostwu w nowo założonym Polsko-Niemieckim Towarzystwie „Europa Regionum” szybko też poznałem się z profesorami z innych instytutów, przede wszystkim z Instytutu Historii i z Instytutu Socjologii. Z prof. Włodzimierzem Stępińskim w tym czasie łączyły mnie już wcześniej więzy przyjaźni, które stały się jeszcze intensywniejsze w czasie wspólnej pracy na uniwersytecie greifswaldzkim w latach 1995/96. Natomiast z prof. Ludwikiem Janiszewskim zapoznałem się dopiero przez współpracę w „Europa Regionum”. Był on człowiekiem bezwzględnie godnym podziwu jako człowiek i jako naukowiec, który nie zważając na ciężki już wówczas stan zdrowia,

pracował dosłownie do ostatniej chwili. Do dziś jestem dumny z tego, że miałem wielki zaszczyt zaliczyć się do grona jego przyjaciół już po bardzo krótkim okresie wspólnej pracy w Towarzystwie. Pamiętam, że jeszcze w czerwcu 1998 r., w parę tygodni przed jego śmiercią, w sobotę wieczorem po zajęciach w drodze powrotnej do Greifswaldu zdecydowałem się pojechać do niego do domu, mimo że nie byliśmy umówieni. Chciałem mu bowiem przekazać gotowe terminowe tłumaczenia dla kolejnego tomu wydanego przez Towarzystwo. Wiedząc, że często bywał w szpitalu, miałem po prostu nadzieję zastać Profesora w domu. Spotkaliśmy się i przyjął mnie wyjątkowo gościnnie i serdecznie. Do mojej żony przed wyjazdem powiedziałem, że może mnie oczekiwać koło godziny 22. Będąc u Profesora, nagle sobie uświadomiłem, że zbliża się już uzgodniony z żoną czas wyjazdu. Przeprasilem więc Profesora, bo chciałem zadzwonić do domu, aby z powodu mojego opóźnienia żona się nie zmartwiła. Było to moje ostatnie spotkanie z Profesorem Janiszewskim. Prawie dokładnie w miesiąc później wyjechałem do Szczecinie specjalnie, aby się pożegnać z Profesorem na zawsze. Na jego pogrzebie obecnych było wyjątkowo wielu ludzi. Wśród nich był ks. Jan Marcin Mazur, z którym po zapoznaniu się porozmawiałem. W parę tygodni później przypadkowo spotkaliśmy się ponownie, tym razem w Dobrej Szczecińskiej, na konferencji poświęconej polsko-niemieckim stosunkom. W przerwie po powitaniu ksiądz zwrócił się do mnie, mówiąc z uśmiechem: „Wie Pan, przez cały czas zadaję sobie pytanie, skąd Pan tak dobrze mówi po niemiecku!” Był to tak niezwykle miły dla mnie komplement, że o tym nigdy nie zapomnę. W krótki czas potem zaczynał się nowy rok akademicki i gdy zostawiłem samochód na parkingu strzeżonym, stróż do mnie powiedział: „Wie Pan, widziałem pana profesora w telewizji!” Tłem tego było, że w trakcie jakiejś przerwy, w czasie wymienionej konferencji pewna stacja telewizyjna poprosiła mnie o wywiad, zaraz potem Radio Szczecin, a następnie jeszcze jedna stacja, a to zapewne dlatego, że byłem na tej konferencji jedynym uczestnikiem niemieckim.

W 1998 r. podjąłem w Greifswaldzie pracę w samodzielnym zawodzie jako tłumacz przysięgły języka polskiego. Co prawda zdecydowanie przeważają tłumaczenia ustne i pisemne dla sądów, prokuratury i policji, ale są także inni zlecniodawcy. Jeśli chodzi o tłumaczenia drukowane, to najchętniej pamiętam książkę pt. *Szkice szczecińskie* autorstwa Małgorzaty Jankowskiej (obecnie Gwiazdowskiej), Miejskiego Konserwatora Zabytków w Szczecinie od 1996 r., która ukazała się w szczecińskim wydawnictwie Lega w 2003 r.

Również w 1998 r. roku Uniwersytet Szczeciński zawarł ze mną pierwszą regularną umowę o pracę. Początkowo były to umowy roczne, a w 2003 r. dostałem umowę pięcioletnią, która została wznowiona w 2008 r., na krótko po zakończeniu mojej trzyletniej, równoległej pracy na PWSZ w Wałczu. Gdyby dane mi było przepracować jeszcze okres do 2013 r., to będę mógł powiedzieć, że z Uniwersytetem Szczecińskim jestem związany od prawie 20 lat.

Mogłem w tym artykule przytoczyć tylko niektóre epizody dotyczące głównego zagadnienia, gdyż nie chciałem tu prezentować samego życiorysu faktograficznego. Wybór przeze mnie dokonany nie jest jednak zupełnie dowolny. Miał on bowiem uwidocznic z jednej strony, że dzięki temu, iż plan zajęć w pierwszym semestrze moich studiów zdecydował o podjęciu fakultatywnych studiów polonistycznych zamiast bohemistycznych, w latach dziewięćdziesiątych mogłem budować sobie nową egzystencję jako tłumacz, co w Greifswaldzie byłoby wykluczone, gdybym został bohemistą. Z drugiej strony dopiero po upokarzających doświadczeniach w ostatniej fazie mojej pracy jako polonista w Greifswaldzie mogłem doceniać, że szczęśliwym trafem, wbrew nieco innym ówczesnym zainteresowaniom, pogodziłem się ongiś ze studiami germanistycznymi. I chociaż jeszcze dziś mnie boli, iż nie dane mi było kontynuować pracy jako polonista, mogę sobie szczerze powiedzieć: „Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło”, ponieważ przez pracę w Polsce moje życie stało się o wiele bogatsze. Jest w tym nieoceniona zasługa samych Polaków, którzy po zmianach politycznych przyjęli mnie jako swojego i traktowali nieporównywalnie lepiej od ówczesnych nowych decydentów na uniwersytecie greifswaldzkim. To Polacy nadali mojej pracy zawodowej nowy sens. Za to jestem im niezmiernie wdzięczny. Poza tym odczuwam wielką satysfakcję, że mimo przeszkód stawianych mi ze strony niemieckiej wszystko, czego dokonałem w pracy zawodowej, a także społecznej, jak np. w Niemiecko-Polskim Towarzystwie, jakoś wiąże się z Polską.

Mam nadzieję, iż udało mi się ukazać, jak moje więzy z Polską z biegiem czasu się zacieśniły. Przyczyniła się do tego niezliczona ilość przeżyć, o których z wdzięcznością pamiętam i bez przesady mogę dziś powiedzieć, że jestem bogaty – mam bowiem dwie ojczyzny, z których jedną jest Polska.